

Dziki Bill Hickok.

Przybysz wjechał powoli do miasta. Jego długie, kręcone włosy zasłaniały mu twarz. Ludzie znali go dobrze i z niepokojem spoglądali w jego stronę. To Dziki Bill Hickok. Mawiał, że zabił sto ludzi (w rzeczywistości było ich około dziesięciu). Nikt go tu nie lubił. Może tylko barman, który zarabiał na nim z pięć dolarów dziennie. Billy był jednym z tych, którzy nigdy nie przegrywali w ruletkę, pokera, a nawet black jacka. Nieraz, ktoś zarzucał mu oszustwa, ale zawsze, tak, dobrze mówię, zawsze to były jego ostatnie słowa. Jego dwa rewolwery połyskiwały w świetle słońca. Przybysz podjeżdżał powoli do saloonu „*Nuttall & Mann's No. 10*”.

Grabarz wiedział, że zaraz sprzeda kolejną trumnę... każdy wiedział, że kiedy Bill wchodzi do saloonu, będzie w mieście o jednego człowieka mniej.

Jednak tego dnia w mieście nie miał umrzeć żaden uczciwy obywatel.

Umrzeć miał właśnie Bill... tak, Dziki Bill Hickok.

Nie wiedział o tym nikt. On również nie spodziewał się, że będzie to jego ostatni dzień. Wszedł do saloonu. Wszyscy odwrócili głowy w jego stronę. Jedni grali w pokera, inni pili drinki. Lecz kiedy Bill wszedł, to tak jakby czas się zatrzymał. Rozmowy ucichły, a fortepian przestał grać. On tymczasem rozglądał się za miejscem przy ścianie. Zawsze bał się strzału w plecy. Powoli chodził po saloonie. Jednak nie mógł go znaleźć. Gwar rozmów znów rozległ się w całym barze. Hickok zamówił drinka. Pił go powoli, na stojąco. Nagle rozległ się strzał. Poczul ostry ból na plecach. Zdażył jeszcze wyciągnąć rewolwery i odwrócić się do napastnika. Jednak wystrzelić już nie dał rady. Osunął się powoli na podłogę.

Tak właśnie zginął Dziki Bill Hickok. Zginął dlatego, że nie znalazł miejsca przy ścianie. Jeden z najszybszych rewolwerowców na Dzikim Zachodzie umarł od tego, czego najbardziej się obawiał. Od strzału w plecy.

Jan Pałyga 6c